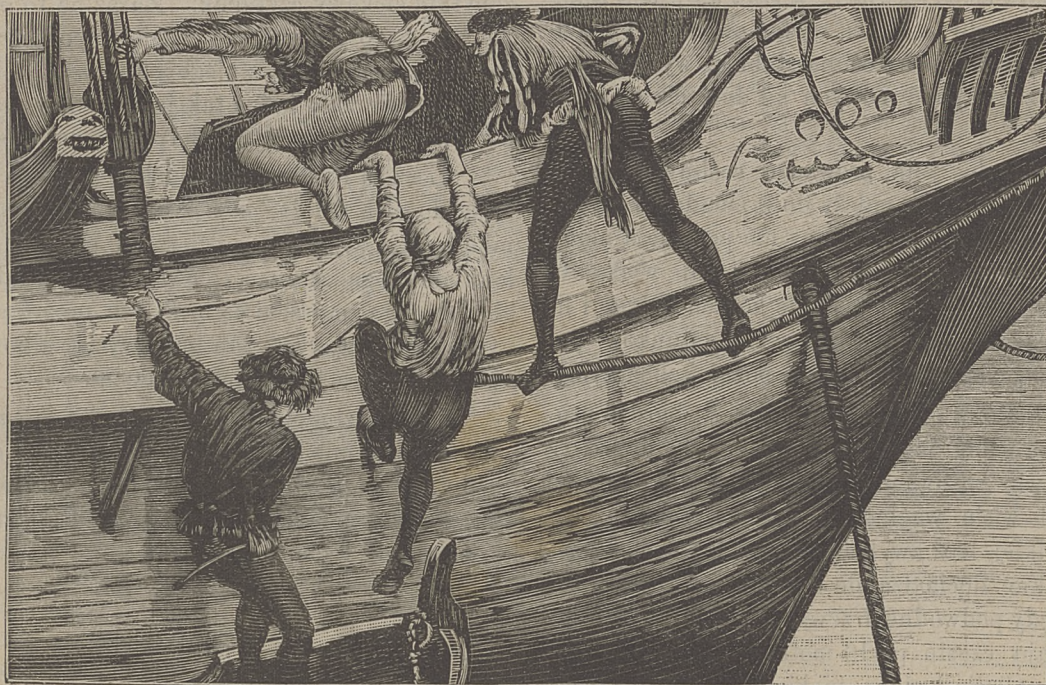


WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Franciszek i cała załoga wchodzi na pokład korsarskiej galery (str. 135.)

ŻYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dz. M. Stefanowską.

I.

Zwierzęta, żyjące w morzach, czyli *fauna morska* jest nie-równie liczniejsza, jak wiemy, od *fauny lądowej*. Aby zapoznać się bliżej z tą nieskończoną ilością gatunków, podzielimy

świat zwierzęcy morski, na trzy wielkie gromady. Opowiadanie nasze rozpoczniemy od zwierząt przebywających w płytkich wodach, znajdujących się wzdłuż wybrzeży lub na nieznacznej odległości od takowych. Jest to tak zwana *fauna przybrzeżna*, z powodu łatwego dostępu najdawniej i najlepiej znana przyrodnikom.

Następnie przyjrzymy się zwierzętom pływającym na otwartym oceanie, zdalea od lądów. Stanowią one *faunę pelagiczną*, odmienną od przybrzeżnej.

W końcu odbędziemy wędrowkę do wielkich głębin morskich i poznamy tam świeżo odkrytą *faunę głębinową*.

Roślinność zajmuje w oceanie także niepoślednie miejsce, a ponieważ posiada ona ważne znaczenie w życiu zwierząt, przeto zaraz na wstępie pomówimy o roślinach.

Rośliny morskie.

Wiemy wszyscy dobrze, co to jest roślina wyrastająca na gruncie. Wydaje nam się naturalnem, że roślina tkwi w ziemi *korzeniami* i wysysa niemi soki ziemne, z korzenia podnosi się do góry *łodyga*, a na niej wyrastają zwykle szerokie i płaskie blaszki, to *liście*, któremi roślina oddycha oraz bierze pokarmy gazowe z powietrza. Wreszcie najpiękniejsza epoka w życiu roślin, jestto chwila, gdy okrywają się one *kwiatami*, często ślicznie zabarwionemi i rozkoszną woń wydającymi. Jeżeli ze wszystkich pór roku, najmilszą jest dla nas wiosna, to w znacznej mierze dla tego, że roślinność jest wówczas najpiękniejsza, budzi się do życia i okrywa kwieciami.

Nie pogardzamy wprawdzie i dalszym rozwojem rośliny, gdy na miejscu kwiatów pojawiają się *owoce*, są to jakby drugie kwiaty a zarazem cel dla którego roślina zbudziła się na wiosnę, skwapliwie chłonęła w siebie soki powietrzne i promienie słońca, wydała liście i kwiaty, a cała jej praca zniierzala jedynie do tego, aby w końcu wydać owoce. Nic dziwnego tedy, że po tylu trudach roślina słabnie, wymaga wypoczynku i snu, by zaczerpnąć nowych sił do życia na przyszłą wiosnę.

Zupełnie inny tryb życia prowadzą rośliny morskie. Cała prawie roślinność morska należy do gromady, którą botanicy nazwali *glonami*. (*Algae*). Glony nie posiadają nigdy kwiatów, a zatem brak im tej ozdoby, która cechuje większość roślin lądowych. Glony miewają jedynie korzeń łodygę i liście, lecz i to nie zawsze; jest bowiem wiele gatunków pozabawionych tych głównych części, jak to później zobaczymy.

Wewnętrzna budowa glonów jest również bardzo prosta, słowem są to rośliny pierwotne, zajmujące najniższy szczebel w królestwie roślinnem, niemniej jednak są one bardzo ciekawe pod wielu względami. Glony rosną wprawdzie i w wodzie słodkiej, lecz zwykle są to rośliny drobne; natomiast glony morskie dochodzą do ogromnych rozmiarów, tworzą nawet niekiedy podwodne drzewa. U wybrzeży Francji rośliny te miewają często po 10 metrów długości, a *Macrocystis* z wybrzeży Chili dosięga niekiedy do 200 metrów. Pomimo tak olbrzymich rozmiarów, budowa ich pozostaje prostą. Życie roślin w morzu nie wymaga tak złożonej organizacyi jak u roślin żyjących na powietrzu.

Glony morskie zawierają w sobie zielony barwnik zwany *zielenią*; tenże sam barwnik znajduje się w liściach roślin lądowych. Zielień służy nie tylko ku ozdobie roślin, lecz odgrywa ważne znaczenie w ich życiu; postaramy się to zaraz wytłumaczyć.

Wszyscy wiemy, że rośliny żywią się nie tylko sokami ziemi, ale i gazami unoszącymi się w powietrzu. Między temi gazami najważniejszymi dla rośliny są *tlen* i *kwasek węglany*. Tlenem roślina oddycha tak jak ludzie i zwierzęta, a kwas węglany służy jej za pokarm.

Kwas węglany jestto połączenie węgla z tlenem. Roślina chłonie ten gaz swemi liśćmi z powietrza lub wody, następnie rozkłada go: zatrzymuje w swych tkankach węgiel, a tlen całkowicie lub częściowo wyrzuca z siebie w powietrze.

Otóż, aby mózdz żywić się kwasem węglanym, dwie rzeczy niezbędne są dla rośliny: zieleni oraz światło słoneczne. Jeżeli w skutek choroby roślina utraciła swą zieleni, wówczas musi umrzeć z głodu, chociaż dokoła niej pełno kwasu węglanego i chociaż świeci słońce. I odwrotnie postawmy zieloną roślinę do ciemnej piwnicy a wkrótce zblednie ona i umrze, ponieważ zabrakło światła bez którego roślina nie umie przyrządzić sobie pokarmów.

Takim jest życie wszystkich *zielonych* roślin. Gromadzą one przez całe życie węgiel w swych tkankach, stanowi on główny szkielet ich ciała. Nie sądźmy jednak, aby węgiel niezbędnym był tylko dla roślin, wchodzi on również w skład ciała naszego oraz zwierzęcego, gdyż wszystkie żywe istoty potrzebują do życia węgla. Na pozór jestto trudne do uwierzenia, aby zwierzęta w ciele swem zawierały węgiel, tak jak i rośliny, a jednak łatwo się o tem przekonać. Włóżmy do ognia kawałek drzewa i kawałek mięsa, gdy się oba spalą, to jest gdy woda i gazy ulecą z nich, to ujrzymy, że pozostały nam dwa kawałki węgla. A zatem węgiel znajdował się już poprzednio w drzewie i mięsie, bo skądżeby się nagle zjawił po spalaniu?

A jakim sposobem węgiel dostał się do ciała zwierząt? zapytuje ciekawy czytelnik. Zaraz na to odpowiemy. Wiemy już, że rośliny czerpią węgiel z powietrza i przy pomocy zieleni przyrządzają z niego pokarmy. Istnieje także mała garstka zwierząt, które tak jak i rośliny mają w sobie zieleni a zatem narówni z niemi czerpią węgiel z powietrza.

Lecz są rośliny wydziedziczone, które zieleni nie posiadają, do nich należą *grzyby*, bardzo liczne na świecie. Wynika z tego, że grzyby, zwierzęta oraz ludzie nie mając zieleni, nie mogą czerpać z powietrza niezbędnego dla nich węgla i dlatego zmuszeni są brać ten *pierwiastek* (węgiel) od innych roślin, żywych lub martwych, albo też biorą go od zwierząt, które żywią się roślinami.

Dochodzimy tedy do wniosku, że *zielone rośliny* są olbrzymią fabryką, gdzie wyrabiają się pokarmy dla zwierząt. Bez roślin nie mogłyby istnieć zwierzęta. Zrozumiemy teraz łatwo, że glazy morskie posiadają doniosłe znaczenie dla podtrzymywania życia w oceanie.

(d. n.)

LOSZY ADASIA.

przez

Zofię Kowerską.

(Dokończenie).

— Mój Adasiu, może oni wszyscy mają słuszość; ale ja ciebie pokochałem od chwili, gdyś tak szczerze żałował uczynionej mi psoty z owemi kaloszami.

— Ja i teraz żałuję moich postępów, ale wiem, że się nie poprawię. Już moja nauka przepadła na zawsze. Będę albo dżokejem, albo skoczkiem na linie, albo majtkiem na okręcie, albo będę grał rolę lokai w komedjach tych co to mają tylko kilka słów do powiedzenia i stół zastawiony jałdem do wniesienia.

Mundzio się uśmiechnął.

— To sam sobie tę przyszłość obrałeś?

— Józio mi wymyślił majtkę, a ja sam wymyśliłem resztę.

Tak rozmawiając Mundzio z Adasiem szli piechotą ku domowi, furka zaś najęta pojechała naprzód z tłumoczkiem Mundzia.

— Jaka ci też wyborna myśl przyszła przyjechania do nas — rzekł Adaś.

— Mam bardzo ważny interes, nie wiem czy mi się go przeprowadzić uda.

— Interes do nas?

— Tak, interes do was. Ale chciałem też tu zobaczyć wszystkich. Stęskniłem się do Słomieńca. Ach, prawda, Słomieńca już няма, ale mi przecie tylko o jego mieszkańców chodziło!

— Jak ja się cieszę z twego przyjazdu — powtarzał Adaś — będę miał przynajmniej do kogo słowo przemówić! Byłem tu jak jaki trędowaty, jak jaki zapowietrzony, którego każdy się bał.

Wszyscy ucieszyli się przyjazdem Mundzia. Pan Bodzicki ściskając chłopca powiedział:

— Czemu to Adaś nie jest do ciebie podobny!

Potem wypytywał, jak się Mundziowi powodziło, co się działo z jego rodzeństwem. Dowiedział się, że Mundzio był bardzo zadowolony z korzystnej pracy, jaką mu się dostać w Rydze udało, że rodzeństwo swoje prawie zupełnie z własnych dochodów utrzymywał, ale bolał nad tem, że był od siostry i brata oddalony, a więc nie mógł swym przykładem i wpływem oddziaływać na ich wychowanie.

— Mam już lat 23 — mówił Mundzio — a tyle już w życiu przebiegowałem, iż wydaje mi się, że starszym jestem niż moje lata.

— Jesteś nad wiek poważny, to prawda — odrzekł pan Bodzicki.

Adaś chciałby ciągle z Mundziem przebywać. Sypiali w jednym pokoju i czasem do północy rozmawiali. Mundzio znajdował, że niepowodzenia szkolne Adasia i jego niezdolne położenie w domu rodzicielskim sprawiły, że chłopiec nabrał nieco rozsądku i bardziej serjo na życie zapatrywać się począł.

— Żebym ja mógł wymyśleć dla ciebie coś takiego, co by cię jeszcze na człowieka z wiedzą wyprowadziło! — mówił Mundzio.

— Już o tem nie myśl — odpowiadał Adaś z westchnieniem — ja już nie mam tej siły woli, któraby była potrzebna do przełamanania mojego umysłowego lenistwa. Może będę mógł być aktorem grającym rolę lokai, ale już ślęczyć nad książką za nic w świecie nie potrafię.

— Ależ to smutno być człowiekiem niedouczoneym! Nauka to taka dobra rzecz!

— Dobra może, ale już nie dla mnie!

W kilka dni po przyjeździe Mundzia, on, Adaś i Marynia siedzieli na ławce w ogrodzie. Mundzio stał się naraz bardzo blady, stanął przed Marynią i rzekł:

— Przyjechałem tutaj z wielką prośbą do pani, panno Maryo! Niech mi pani wysłuchać raczy nie przerywając a potem pani odpowie mi, czy moja nadzieja była uzasadnioną czy nie. Ja panią proszę, by pani została moją żoną. Mam rodzeństwo znacznie młodsze od siebie, potrzebuje ono opieki i wychowania, dlatego chciałbym założyć własny dom i własne gospodarstwo. Gdym myślą po świecie szukał takiej osoby, któraby mogła mojemu rodzeństwu służyć za opiekunkę i dawać mu same dobre przykłady, znalazłem jedną tylko panią, panno Maryo. Widzę w pani tyle serca, tyle łagodności, tyle pracowitości, tyle umiejętności poświęcania się dla innych, że śmiało moim ukochanym braciom i siostrzyczce dałbym panią za opiekunkę i towarzyszkę. Niech pani zechce mi odpowiedzieć czy się pani zgadza zostać moją żoną i aniołem stróżem mego rodzeństwa.

Marynia siedziała chwilę w głębokiej zadumie potem podniosła na Mundzia szczerze i prawe spojrzenie:

— Gdybym od siebie zależała jedynie — odezwała się —

chętnie przystałabym na propozycję pana. Moi rodzice przywiązali się do pana i my wszyscy także. Chętniebym poszła dopomagać panu w wychowaniu rodzeństwa, ale uczynić tego nie mogę.

— Dlaczego? — zawołał Mundzio zmartwiony odmową Maryni.

— Bo ja muszę dopomagać rodzicom swoim. Pan wie, że stracili oni majątek prawie zupełnie. Wółka mogłaby nas wyżywić, ale trzeba jeszczełożyć na wychowanie Jadzi i Józia. Myślałam, że Adaś będzie mógł być podporą rodziców, ale... Otóż postanowiłam zostać nauczycielką i już staram się o miejsce, żeby dostarczyć rodzicom tyle przynajmniej pieniędzy ile im potrzeba na oddanie i utrzymanie Józia w szkołach. Powtóre, Jadzia i Józio są jeszcze mali a dla rodziców trzeba choć jednego dziecka starszego, któreby im było podporą w każdym wypadku.

— Ja jestem przecie starszy! — zawołał Adaś.

Marynia spojrzała na niego ze smutkiem.

— Mój Adasiu — rzekła łagodnie — nie mogę ciebie brać w rachubę, chyba jako zwiększenie wydatków dla rodziców i jako troskę, którą im trzeba osładzać o ile można. Z tego też szczególnie powodu muszę panu Edmundowi odmówić i nie mogę zostać jego żoną.

Adaś zerwał się z ławki, spojrzał na zasmuconą twarz Mundzia i rzekł:

— Więc ja jestem powodem, że Mundzio nie dostanie za żonę takiej dobrej jak ty osoby. Ja jestem powodem, że ty Maryniu nie zostaniesz żoną najszlachetniejszego chłopca jakiego znam? Mundziu! wymyśl jakiś sposób, żebym ja przestał być powodem smutku dla was wszystkich, żebym nie był przeszkodą do twego szczęścia i szczęścia Maryni.

— Bardzo to dobrze, mój Adasiu, że żałujesz swych postępów, ale sam wiesz, że nie możesz być pomocą rodzinie, a będziesz raczej ciężarem. Ja do pana Edmunda przywiązałam się jak do brata i chętniebym jego los podzieliła, ale nie mogę. Nie mogę myśleć o własnem szczęściu, muszę myśleć o rodzicach, o rodzeństwie.

Adaś rzucił się nagle przed Marynią na kolana.

— Maryniu — mówił — ja nie mogę znieść tego, żeby z mojej winy cierpiało dwoje ludzi, których po rodzicach najbardziej kocham ze wszystkich. Ja nie mogę znieść myśli że Mundzio będzie pozbawiony szczęścia powierzenia tobie swojej siostrzyczki i braci. Dlatego, że ja nie zasługuję na zaufanie! Błagam cię Maryniu, nie odmawiaj Mundziowi stanowczo, pozwól mi jeszcze spróbować zostać porządnym chłopcem! Mundzio mi mówi, że w Rydze jest wórkurs, taka szkoła, która przygotowuje do politechniki. Ja się chcę do tej szkoły przysposobić pod kierunkiem Mundzia i przysięgam ci że doprowadzę mój zamiar do skutku! Już mnie samemu obrzydło moje własne postępowanie. Rodzice moi są ludźmi wykształconymi i ja się chcę wykształcić umysłowo! Wiem że mi to będzie trudno po tyloletniem próżniactwie, że będę musiał staczać ciężkie walki z sobą, że będę musiał czynić wielkie wysiłki, ale spróbuję! A gdy mi będzie ciężko, gdy mi będzie trudno, gdy będę upadał na duchu przypominę sobie tylko, że nagrodą za moje usiłowania, za moją wytrwałość będzie twoje szczęście, Maryniu, i szczęście Mundzia. W imię waszego szczęścia przemożę moje wady i dopnę celu! Zobaczysz Maryniu!

Marynia objęła szyję Adasia, podniosła go z kłęczek i z oczami pełnemi łez rzekła:

— Dobrze Adasiu! Przyjmuję okup, jaki chcesz złożyć za moje szczęście i za szczęście pana Edmunda. Teraz wezmę miejsce nauczycielki, lecz jeżeli za rok będę widziała, że pracowałeś z całych sił i pan Edmund da ci świadectwo uczciwej pracy, to wtedy przestanę być nauczycielką i zostanę żoną twego przyjaciela a opiekunką jego młodszego rodzeństwa.

— Mundziu, ty mi dopomożesz! — zawołał Adaś.

— Ile tylko sił mi starczy — rzekł Mundzio biorąc Adasia w ramiona i ściskając go jak brata.

— Ach, jakież ja jestem szczęśliwy! jaki ja jestem szczęśliwy! — mówił Adaś — Dawno tak się nie czułem zadowolony i pełen nadziei!

— Widzisz — rzekł Mundzio — czujesz się szczęśliwym przy samem postanowieniu poprawy! Cóż to będzie za szczęście, gdy tu za rok przyjedziemy i powiemy pannie Maryni, że przez cały rok postęпки twoje były bez zarzutu.

— Mundziu, Mundziu — wołał Adaś — przemysliwałem, jakby to można było zrobić, byś ty został moim bratem, a nie przyszło mi do głowy, że jest na to sposób. Bo szwagier to to samo co brat!

— Nie mówmy o tem jeszcze napewno — ozwała się Marynia — trzeba przedtem spełnienia warunku...

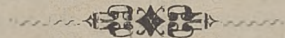
Adaś zamknął jej usta pocałunkiem.

— Będzie spełniony! Będzie spełniony — wołał.

— Ale przedewszystkiem chodźmy do ojca, żeby nam powiedział, czy się na nasze układy zgadza — rzekła Marynia — Wszak wszystko od naszych rodziców zależy!

Siostra i bracia Mundzia pokochali Marynię nie tylko jak siostrę, ale jak matkę. Z pomocą jej wpływu wychowanie ich poszło łatwo i szczęśliwie. Mundzio miał dotąd z ich powodu samą tylko radość,

Adaś jest już inżynierem. Buduje w tej chwili most na rzece, przez który ma iść kolej żelazna. Gdy zmęczony, po całodziennej pracy, znajdzie się w swoim pokoju, myśl jego biegnie często w dawne czasy, do tych chwil w których bywał ciężarem sobie i innym. Wtedy, młody inżynier składa ręce i z najwyższą wdzięcznością dziękuje Bogu, że go ocalił i że mu pozwolił wejść na drogę poprawy.



Menelik.



Taitou żona Menelika.

Szli we troje ku domowi a Adaś cały rozpromieniony mówił podskakując:

— Nie będę już skoczkiem na linie, nie będę dżokejem nie będę majtkiem, nie będę aktorem do ról lokai, ale będę inżynierem! Będę inżynierem!

Pierwszych dni września Adaś z Mundziem pojechali do Rygi, gdzie Adaś począł staczać z samym sobą ciężkie walki. Opanowało go czasem nad książką dawne lenistwo, senność, ziewanie. Wtedy zlewał trwarz zimną wodą, albo z książką chodził koło stołu. Czasem rzucał ze złością podręcznik matematyczny w kąt, ale podnosił go natychmiast, bo przychodziła mu myśl, że dwoje ukochanych przez niego ludzi zaufało mu i nadzieję szczęścia wzajemnego w jego poprawie złożyło. Bywały chwile, w których miał ochotę dać pokój pracy a iść grać w bilard lub ślizgać się na łyżwach, ale spojrzenie Maryni pełne przywiązania i słodyczy stało mu w oczach. Zostawał więc w domu i kuł.

— Wiesz Mundziu — rzekł raz do przyjaciela — trzech królów byli prowadzeni przez jedną tylko gwiazdę. Mnie prowadzą aż dwie gwiazdy, a gwiazdami temi są oczy Maryni które widzę przed sobą. Mówią mi one: „Pracuj, bo od tego szczęście dwojga ludzi zależy.

Z pomocą Mundzia i własnej wytrwałości, która u niego powstawała z przywiązania do siostry i do przyjaciela, Adaś dotrzymał przyrzeczenia.

Marynia widząc, że rodzice będą mieli z Adasia podporę i pociechę, zgodziła się nareszcie zostać żoną Mundzia.

CIEKAWY KRAJ AFRYKAŃSKI.

Z powodu wojny, jaką prowadzą obecnie Włochy z Abisynią, uwaga całego świata skierowała się na ten kraj i zamieszkujący go naród, i ciekawie zapytujemy: jakiego szczepu to ludy, jaka ich przeszłość, jaki stopień cywilizacji, a wreszcie jakie są warunki klimatyczne tych ziem, leżących na wschodnim wybrzeżu skwarnej Afryki.

Abisynia czyli Habesz w części swej południowej odpowiada starożytnej Etyopii, powyżej Egiptu położonej, rozciągając się na południo-wschodzie Nubii, podczas gdy morze Czerwone oblewa ją z północo-wschodu.

Jest to kraj znacznie wyniesiony i bardzo górzysty, z tego też powodu Szwajcaryą afrykańską zwany, bogaty w malownicze okolice, obfituje w gęste lasy, piękne jeziora i szybko płynące z mnóstwem wodospadów rzeki; tutaj też Bahr-el-Azrek zwana Niebieskim Nilem albo Abai t. j. ojcem wód, bierze swój początek na południu jeziora Trana, tworząc u pogranicza z Egiptem wodospad na 90 m. wysoki. Znaczne wyniesienie ładu Abisynii jest powodem mniejszego gorąca niż w Egipcie i Nubii, pomimo, że kraj ten bliżej równika jest położony; latem przez kilka miesięcy padają tu obfite deszcze.

Ziemia w dolinach nadzwyczaj urodzajna nadaje się do uprawy wszelkich zbóż, dwukrotnie w ciągu roku sprzątanym;



Wojsko Abisyńskie w pochodzie.

rośnie tu pszenica, ryż, trzcina cukrowa, cenny w starożytności papyrus, drzewo lebanowe i kawowe, którego nawet, jak się zdaje, kraj ten był pierwotną ojczyzną.

Ze zwierząt domowych konie abisyńskie odznaczają się zręcznością i szybkim biegiem, dziko zaś żyją tu lwy, tygrysy, hyeny, słonie, hipopotamy, niezliczone gromady małp i gazeli, oraz strusie i papugi; często zaś przeciągająca szarańcza niszczy całe obszary kraju i bywa przyczyną głodu i zarazy.

Rdzenna ludność miejscowa pochodzenia etyopskiego, jest ogólnie wysokiego wzrostu i pięknej budowy ciała, a kształtnymi rysami przypomina typ europejski, z wyjątkiem koloru skóry, która, jak u wszystkich ludów południowych jest ciemnej barwy. Są oni dumni ze swego starożytnego pochodzenia, utrzymując, iż protoplaści ich byli Egipcyanami należącymi do kasty wojowniczej, która skutkiem ucisku króla Psametycha, tutaj szukała schronienia.

Ubranie obojg płci składa się najpierw z czworokątnej białej chusty, w której trzy otwory służą do przesunięcia głowy i ramion. Bogatsi noszą nadto czarny burnus jedwabny, albo coś w rodzaju białej, czerwonymi szlakami obszytej togii. Bardzo oryginalnem jest ubranie głowy kobiet. Jedne zwijają włosy w cienkie warkoczki, inne zbierają je wszystkie w górę i układają w pukle, dziewczęta zaś często widywać można z tozurą otoczoną koroną krótko przystryżonych włosów.

Z biegiem wieków na widownię polityczną występuje potężne państwo Axum, którego monarchowie panowali nad wielkim obszarem ziem sąsiednich, wskutek jednak wewnętrznych zaburzeń potęga ta rozpadła się na drobne, niezależne od siebie prowincje, i jedynymi śladami dawno minionej świetności, są istniejące do dzisiaj w pobliżu teraźniejszego miasta Axum, obszerne zwaliska, pośród których wznosi się około 0 obelisków. Szperacze starożytności odnajdują tam liczne odłamki architektoniczne, ołtarze i tablice z napisami greckimi i staroetyopskimi, a nawet cenne monety i medale. Według tradycji, w tym właśnie grodzie panować miała owa sławna królowa Saba, wspomniana w dziejach ludu Izraelskiego, która z kosztownymi darami przybyła złożyć hołd mądrości i potędze Salomona.

Przez wczesne przyjęcie chrześcijaństwa, przypadająca na wiek IV, wyprzedzili Abisyńczycy cywilizacją inne ludy afrykańskie. Początkowo uznawali oni władzę kościelną Rzymu, pod wpływem jednak sekty Monofizytów, złączyli się z kościołem koptyjskim, a religijność ich obecna zasadza się na licznych obrzędach i postach, oraz pielgrzymce do Jerozolimy; szczególną jednak cześć oddają Matce Najświętszej. Wszyscy też chrześcijanie noszą na szyi niebieskie jedwabne sznurki z medalikami i krzyżami.

W dziejach nowożytnych Abisyńczycy występują poraz pierwszy, jako poddani państwa Axum, następnie walczą z Mahometanami, a od XVI w. z Gallasami, przeciwko którym, pomagali im nawet Portugalczycy. Władca tutejszy Negusem zwany, co po etyopsku marszałek znaczy, jest najwyższym wodzem i panem, on stanowi od siebie pomniejszych dowódców, których od słowa: ras (głowa) rasami zowią. Urzędnicy ci zarządzając prowincjami, względem monarchy grają rolę jakby dawnych lennych u nas książąt, składając mu haracz w monecie, oraz dostarczając w razie potrzeby posiłków zbrojnych.

Po rozpadnięciu Abisyinii na trzy państwa: Tigre, Amharę czyli Gradahar i Szoa, dość długo w Europie nie zwracano na te ziemie żadnej uwagi, dopiero w 1850 r., gdy Dedżodży-Kasa, pokonawszy swego zwierzchnika, króla Anihary, zaczął opanowywać kolejno resztę krajów abisyńskich i w 1855 r. koronował się na cesarza pod imieniem Teodora I, poczęto się zajmować zachodzącymi tam wypadkami, tym więcej, że Teodor I dla podniesienia swego wpływu i odbudowania państwa w dawnych jego granicach, starał się o stosunki z Europą. Wszakże tyrańskie jego rządy wywołały liczne bunt, a podejrzliwy monarcha upatrując w tem wpływ Wielkiej Brytanii, skierował przeciw osiadłym

tam Anglikom istotne prześladowanie, co ostatecznie w 1868 r. wywołało wojnę z Anglią, a Teodor pokonany w bitwie pod Magdala, życie sobie odebrał. Zwycięzcy jednak nie zatrzymali się w kraju dłużej, uznając za rzecz zbyt kosztowną zaprowadzenie w nim jakiegoś ładu, to też po ustąpieniu ich wojska, walki domowe na nowo się rozpoczęły.

Tymczasem łagodność klimatu i położenie Abisyinii, przedstawiające korzystne warunki do uprawy najcenniejszych drzew i roślin, zwały w ostatnich dziesiętnościach lat Europejczyków różnej narodowości, którzy tu pozakładali znaczne kolonje. Do najcelniejszych między niemi należy kolonja włoska w Erytrei, o którą właśnie dziś zacięta prowadzi się wojna.

Panujący obecnie negus, Menelik II, mieniący się być potomkiem Salomona, rezyduje w Addis-Ababa, w pobliżu Antatto, jedynej stolicy Abisyinii, gdzie po śmierci swego poprzednika Jana, roku 1889 przez rasów cesarzem ogłoszony został. Abisyinja, licząca około 3 milionów ludności, nie ma drugiego większego miasta. Gród ten z rezydencją monarchy, który z jego fantazyi powstał w miejscowości, gdzie cztery lata temu było jeszcze pustkowię, nazwanym jest przez niego Addis-Ababa, co znaczy „Nowy-Kwiat”.

Dwór Menelika otoczony jest prawdziwie wschodnim przepychem, on sam wybranym tylko daje posłuchanie, łaskawiej przyjmując tych, którzy z darami przychodzą. Żonę jego Taitou, żyjącą w ukryciu i otoczoną strażą, rzadziej jeszcze widzieć można, jakkolwiek inne kobiety w Abisyinii biorą czynny udział w życiu swych mężów, pomagając im w domowej pracy, a w czasie wojny dowożą żywność i udzielają opieki rannym. Oryginalną jest przyjęta w tym kraju forma witania lub pożegnania, w której każdy całuje swą własną lewą rękę.

Według świadectwa korespondentów, Menelik II liczący obecnie lat 54, o rysach twarzy wschodnich, na której maluje się wrodzona bystrość połączona z powagą, jest zwolennikiem postępu i europejskiej cywilizacji, bardzo ceni ludzi nauki i otacza ich swemi względami, uważając wszystko co napisane za wyższe, niemal święte. Jakkolwiek miłośnik pokoju, jest przecież wielkim amatorem postępowej broni europejskiej i na zakup takowej, jak również na utrzymanie wojska, nie szczędzi wielkich nakładów, a obóz jego, w którym zaprowadzone są nawet telefony, odznacza się wzorowym porządkiem, generałowie zaś doskonale obeznani są ze sztuką wojenną.

Dotąd w wojnie z Włochami szczęście stale sprzyja orężowi abisyńskiemu, to też negus po ostatniem świetnem dla siebie zwycięztwie pod Aduą, nie ścigał dalej nieprzyjaciela, lecz na czele licznego orszaku udał się do miasta Axum, aby tam podobnie jak Teodor I, koronować się na cesarza.

Wśród lasu.

Szumiały lasy z oddali,
Każde drzewo się żali;
Każde skargi swe szeptuje tajemnie.

To zbyt słonko dopieka,
Tanto cieniu znów czeka,
A to błaga o rosę daremnie.

Smutno wzdycha brzezina,
Drży jagodą kalina;
U stóp wrzosa coś szepczą tak zcicha.

Wierzbie tęskno za wodą,
Głogi z sobą spór wodą;
Chyląc głowę, jagoda wciąż wzdycha.

Olcha gałąź roztrzasa,
A osina się dąsa,
Liściem rzuca w twarz bladą stokroci.

Buk podnosi wzrok w górę,
Chciałby zniszczyć tę chmurę...
A mchy proszą o trochę wilgoci.

Sośnie ciężko na świecie,
Wszak zabrali jej dziecię,
I przeniesli w odległą gdzieś stronę.

Skarży się też i grusza,
Krzew ją wszelki zagłusza,
Gdzież roztoczy swą wielką koronę?

A jałowiec znów płacze,
Że ma życie tulacze,
Że nic nie wie, gdzie złoży swą głowę.

Wzdycha rzewnie topola,
Nie wesola jej dola,
Wszak obcieli gałęzie jej płowe!

Wtem dąb groźnie zawoła...
Cisza padła dokoła,
Wszystkie drzewa wstrzymały oddechy...

Długo szumiał dąb siwy,
A wiatr rozniósł wśród niwy
Jego szumy, jak słowa pociechy.
Z. Morawska.

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Zatrzymajmy się lepiej — rzekł kapitan — już im nie umknijemy, a im dłużej będą gonili, tem się okrutniej z nami obędą.

— I ja tak myślę. Zrobiliśmy co było w naszej mocy. Czekajmy spokojnie.

— Zmęczyliście nas, psy weneckie — zawołał człowiek stojący na przodzie galery. — Biada wam, jeżeli się nie macie czem okupić. Czyja to łódź?

— „Nassos” signora Polani z Wenecyi. Wieziemy listy do jego agentów na Korfu, ale ładunku nie mamy żadnego.

— Dawajcie listy, może się nam przydadzą, a sami przechodźcie na galere, tylko spieszenie, bo was potrafię przyłapać.

Nie było co robić. Kapitan, Franciszek i cała załoga weszła na pokład korsarskiej galery.

— Obejrzyjcie dokładnie „Nassos” — rzekł korsarz — weźcie co się da wziąć, a statek przebijcie toporem; niech zatoni.

Franciszek patrzył ciekawie na załogę galery. Nie byli to genueńczycy, lecz zbieranina wszelkich ludów z nad morza Śródziemnego, jak to mógł łatwo poznać po strojach. Obok Greków, spostrzegł Smyrniotów, Maurów, Hiszpanów. Gdy wzrok jego padł na kapitana, który stojąc pod wielkim masztem czytał listy Polaniego, Franciszek zadrżał, gdyż poznał swego największego wroga, Ruggiera Mocenigo. Zrozumiał, że się musi pożegnać z życiem.

Tymczasem Ruggiero otworzył list ojca do Maryi. Zaledwie przeczytał parę wierszy, twarz mu się rozjaśniła, spoj-

rział dokoła na więźniów i dostrzegłszy Franciszka zbliżył się do niego.

— Więc stary Polani wysłał cię do córek; doprawdy kiedym dziś rano dostrzegł twoją łódź i puścił się za nią w pogoń, nie przypuszczałem, że gonię człowieka, o którego mi więcej chodzi, niż o ładunek okrętu samego doży. Tobie zawdzięczam, że jestem dziś banitą, a nie zięciem bogatego signora Polani. Tyś winien wszystkiemu, co się stało. Ale dzięki Bogu, jesteś w mojem ręku. Myślisz, że cię każę powiesić na maszcie, lub wrzucę do morza? Nie! wynajdę dla ciebie takie tortury, o jakich się nawet Maurom, moim przyjaciółm nie śniło! Wziąć go i okuć w najeięższe żelaza.

Franciszek nie odrzekł ani słowa, lecz stał zimny i patrzył pogardliwie na miotającego się wroga. Myślał, że Ruggiero rzuci się na niego, i postanowił drogo sprzedać swoje życie.

Majtkowie schwycili Franciszka i jego towarzyszy i wrzucili ich pod pomost, gdzie się już znajdowało przeszło stu więźniów. Okuto ich w kajdany, a Franciszka na rozkaz Ruggiera przytwierdzono do ściany, tak, że musiał albo siedzieć albo leżeć. Kapitan „Nassosa” przyszedł i usiadł obok niego.

— Kto jest ten dowódca korsarzy, który cię zna i zemstę poprzysiął. Z mowy sądząc, musi być Wecyaninem, ale niepodobna sobie wystawić Wecyanina na czele piratów.

— Ten człowiek, to Ruggiero Mocenigo, ten sam, który po dwakroć porywał córki signora Polani, i teraz jęczałby w lochach podziemnych, gdyby nie krewni, którzy mu ułatwili ucieczkę. Zapamiętaj pan to imię i powiedz je każdemu ze swoich ludzi, ażeby, jeżeli się który wydobędzie z niewoli, powiedział w Wenecyi, że Ruggiero Mocenigo jest zdrajcą i korsarzem. Zresztą, kto wie, może nam Pan Bóg dopomoże, i my sami nie zginiemy z ręki tego nikczemnika.

— Wolalbym zaraz umrzeć, niż dostać się do niewoli u Maurów. Jak się tam w domu będą dziwili widząc, że „Nassos” nie wraca; pomyślą, żeśmy się rozbili o skały podwodne, a my tymczasem będziemy pracować gdzieś w Afryce, pod biczem okrutnego dozorcę.

— Nie trać nadziei kapitanie. Po skończonej wojnie z Genuą, Wenecya o nas nie zapomni, a tymczasem pewien jestem, że signor Polani nie spocznie, aż wykupi tych co zostaną przy życiu.

— Wierzę, że zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, bo to dobry zwierzchnik, ale dostawszy się do niewoli u Maurów, mało kto może się spodziewać, że go odszukają; jeszcze zależy to od tego, czy nas sprzedadzą jakiemu mieszkańcowi nadmorskiemu, bo jeżeli popędzą w głąb kraju, to rodzona matka nas nie znajdzie.

— Nie traćmy nadziei, może nam się uda uciec, podobno Maurowie dobrze się obchodzą z więźniami chrześcijańskimi.

— I ja także to samo słyszałem. W każdym razie wolalbym być więźniem u Maurów, niż dostać się do lochów genueńskich. Ale co tam ja, pańskie położenie jest daleko gorsze od mojego, bo Ruggiero wydaje się okropnie zawzięty na pana. Ale co to za hałas? Biją się na pokładzie, czy co?

Słychać było istotnie zmieszane głosy, szcęk żelaza i jęk ranionych.

— Przecież niepodobna, żeby statek wenecki napadł na korsarzy. Oglądałem się w około, kiedy nas sprowadzali pod pokład, a nie widziałem żadnego żagla na morzu. Zapewne załoga pokłóciła się między sobą.

— Musi im iść o zdobycz, z tych okrętów, które zabrali, chciałem, żeby między zabitymi był i Ruggiero Mocenigo. Już się uspokoiło, i dalej wiosłują.

Kilka dni upłynęło. Rano i wieczor marynarze przynosili żywność i wodę, ale nie dawali więźniom żadnych wyjaśnień i nie odpowiadali na ich pytania. Franciszek wciąż rozmyślał nad sposobem uwolnienia siebie i towarzyszy, ale galera miała załogę złożoną ze stu pięćdziesięciu ludzi, uzbro-

jonych od stóp do głowy, a im odebrano broń i wycieńczano złem pożywieniem i niedostateczną ilością wody.

Po upływie sześciu dni, zrobił się ruch na pokładzie, spuszczone kotwicę i wyprowadzono wszystkich więźniów z wyjątkiem Franciszka. Dopiero we dwie godziny później przyszło po niego dwóch ludzi z młotami i odbili gwoździe, które go przytrzymywały do ściany.

Światło słońca tak go razilo, że zrazu nie mógł nic rozróżnić. Po chwili jednak spostrzegł, że okręt stoi na kotwicy w zatoce, której wybrzeże zabudowane było domami bez okien. Poznał zaraz, że się znajduje w Afryce albo na jakiej afrykańskiej wyspie. Kiedy Franciszek miał wsiadać do łodzi, wyszedł Ruggiero ze swojej kajuty, z głową obwiązaną i z ręką na temblaku.

— Pilnujcie mi dobrze tego więźnia — rzekł do ludzi — każdy mi głowę za niego odpowiada. Nie zdejmować łańcuchów i postawić wartę pod drzwiami. Wolałbym stracić całą zdobycz niż jego.

Franciszka umieszczono z sześciu towarzyszami w małej, niskiej izdebce. Nazajutrz rano wyprowadzono wszystkich innych więźniów, a on został sam przez cały dzień. Wieczorem towarzysze jego wrócili i opowiadali, że kazano im wyładowywać galere i przenosić towary do wielkiego magazynu w mieście.

— Wzięli ogromne łupy — rzekł jeden z nich do Franciszka. — po opakowaniu mógłbym poznać co te skrzynie zawierały. Wszyscy, którzy tu jesteśmy należymy do trzech statków, ale dowiedziałem się, że korsarze odesłali w pierw do Afryki cały transport więźniów, których już pomieścić nie mogli. Mówiono mi także, że zwada, którąśmy słyszeli wkrótce po uwięzieniu, wynika z tego powodu, że kapitan chciał z częścią załogi wylądować na Korfu i porwać jakieś dwie kobiety, a reszta się temu sprzeciwiała, obawiając się, że ich Wenecyanie dogonią i odbiorą łupy. No i postawili na swoim, chociaż byli tacy, którzy trzymali za kapitanem, ponieważ ustępował swoim ludziom całą część zdobyczy, przypadającą na niego. Była bitwa w której Ruggiero został ranny, i przez ostatnie pięć dni nie wychodził wcale z kajuty i nie chciał mówić z nikim. Powiadają, że gdy tylko sprzeda ładunek, wróci na Korfu i wykona swój plan. My tu stoimy w pobliżu małej wysepki o parę mil od Tunisu, i kapitan wysłał tam kilku ludzi do kupców Maurytańskich z wezwaniem, ażeby przyszli kupić zrabowane towary. Pokazuje się, że piraci zachowują pewnego rodzaju tajemnicę, ażeby w razie interpelacji ze strony Wenecyi, rząd mógł się wymówić niewiadością.

We dwa dni później wyprawiono znowu więźniów, mówiąc im, że już przybyli oczekiwani kupcy. Giuseppe, który dotychczas okazywał wiele meztwa, wpadł w rozpacz na myśl, że będzie się musiał rozłączyć z Franciszkiem. Rzucił się na ziemię, rwał włosy i błagał dozorców aby mu pozwolili dzielić losy jego pana. Aż Franciszek musiał mu wytłomaczyć, że się na nic nie przyda opór, i że zaszkodzi sobie i innym, sprzeciwiając się woli kapitana. Przyrzekł mu także najuroczyściej, że jeżeli sam odzyska swobodę, to nie spocznie aż odnajdzie i uwolni wszystkich współtowarzyszy. Wieczorem więźniowie nie wrócili, i Franciszek całą noc roz-

myślał nad sposobem uwolnienia się. Próbował krat u okna, ale były tak mocno wmurowane, że w ten sposób nie mógł unknąć, a nawet gdyby się dały wyłamać, to łańcuchy przeszkodziłyby mu przejść przez tak wysoko położony otwór.

Był on skuty dwoma łańcuchami, z których każdy miał po dwie stopy i pół długości i jeden szedł od prawej ręki do lewej nogi, a drugi od lewej ręki do prawej nogi, tak, że nie mógł ani stać wyprostowany, ani poruszać się swobodnie. Wiadomości, które mu przyniesiono, o mało go nie doprowadziły do szaleństwa. Mniej myślał o sobie, niż o dziewczętach, które żyły spokojnie, nie domyślając się niebezpieczeństwa, aż spadnie na nie jak sęp Mocenigo ze swoją bandą rozbójników, porwie i uwięzie między nieznanym, wrogich ludzi.

Próbował z początku wysunąć ręce z kajdanów, ale były za ciasno okute. Trzeba było rozciąć okucia, ale jak? nie miał ani kawałka żelaza przy sobie.

Nagle przyszedł mu pomysł do głowy. Przypominał sobie, że dozorca, który mu przynosił posiłek, miał za pasem krótki sztylet, z bardzo kosztowną klingą. Otóż postanowił dostać ten sztylet i przeciąć nim okucia.

O godzinie, kiedy dozorca zwykle wchodził do jego celi, stanął przed oknem i udawał, że się uważnie przypatruje czemuś, co się dzieje na ulicy.

— Czyje to są dzieci — zapytał, odwracając się. — Widzę je bardzo często i zdaje mi się, że nie są to dzieci krajowców.

Dozorca podszedł do okna i wyjrzał.

— Idą teraz między drzewami, w tej chwili właśnie zwróciły w boczną ulicę.

Dozorca przytknął twarz do krat, ażeby lepiej zobaczyć, a Franciszek tymczasem, wysunął mu sztylet z za pasa i schował do własnej kieszeni.

— Za późno przyszlście — rzekł do niego — ale z pewnością często je musicie widywać.

— Nigdy nie widziałem żadnych dzieci, zresztą co mnie tam cudze bębny obchodzą, dosyć mam swoich, które mi wrzeszczą nad głową, ile razy wrócę do domu.

— Tylko mi ich nie wystraszaście, bo to jedyna miła rzecz, którą z mego okna widać.

Niebawem dozorca odszedł, a Franciszek obejrzał sztylet z uwagą. Była to broń cienka z bardzo zahartowanej stali, schował go zaraz do jamy wykopanej w ziemi. O zmroku dozorca otworzył drzwi niespodzianie, ale Franciszek siedział spokojnie w kącie pod murem.

— Wnieś światło, Tomasso, bo tu nic nie widać — zawołał do kolegi.

Tomasso wszedł z pochodnią i obaj oglądali uważnie ubitą ziemię w celi.

— Czego szukacie? — zapytał Franciszek.

— Wypadł mi sztylet z za pasa i nie mogę go znaleźć.

— Kiedyście go ostatni raz widzieli?

— Przy obiedzie miałem go z pewnością, i myślałem, że go tutaj zgubił, a sztylet, to nie jest zabawka, którąby się chętnie dawało więźniom.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Życie w oceanie. — Losy Adasia p. Zofię Kowerską (dokończenie). — Ciekawy kraj w Afryce (z drzeworytami). — Wśród lasu, wiersz p. Z. Morawską. — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). (z drzew.) — **Dodatek:** Kotki i raki, wiersz (z drzew.) — Baśń o królewiczu Hołubku, rozsianem ziarnie i dobrotliwym pasterzu p. Z. Morawską. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Orla skała powieść miss K. Yonge przekład T. O.

WIECZORY RODZINNE

KOTKI I RAKI.

Młode figlarne koteczki
Wśród miłej cichej swobody
Żyły pod strażą mateczki,
Nie znając krzywdy ni szkody.

Lecz się to życie sprzykrzyło
Kotkom, co świata nie znały,
Więc raz gdy mamy nie było
Na wędrowkę się wybrały.

Przebiegły wszystkie zakątki,
Ptaszki w ogrodzie spłoszyły,
A wszystkie w podwórku szczątki
Zruszyły i rozrzuciły...

Do kuchni też wbiegły skokiem,
W której nikogo nie było,
I bystrem objęły wzrokiem,
Czy co nowego przybyło.

Jest, jest, koszyczek z wiciny,
Wieczkiem szczelnie zamknięty,
A w nim z jakowejś przyczyny
Szmer dziwny i niepojęty!

Może się myszy tam skryły
Albo ptaszków smacznych roje,
Więc kotki żywo skoczyły
Chcą kosz otworzyć we dwoje.

Lecz gdy się wieko ruszyło
Strach serca ogarnął kocie,
Bo z kosza się wychyliło
Poczwara jakichś całej krocie...

Nigdy jeszcze dotąd w świecie
Stworzeń takich nie widziały,
Więc z obawą ale przecie
Zbliżka im przyjrzeć się chciały...



Wprawdzie całe takie zbrojne,
Nożyc parę u nóg mają
I w wąsiska wielkie strojne,
Może jednak jeść się dają!...

Więc choć mama przestrzegała
Ze łakomstwo brzydką wadą
I przezorność zalecała,
Kotki gardzą mamy radą.
Wkrótce jednak ukarane
Z wielkim jękiem uciekały,
Bo przez raki im zadane
Rany, długo ich bolały.

M. D.

BAŚN

O KRÓLEWICZU HOŁUBKU, ROZSIANEM ZIARNIE I DOBROTLIWYM PASTERZU.

p. Z. Morawską.



Był sobie królewicz Hołubek, ale chociaż był królewiczem, szczęśliwym jednak nie był.

Bo i jakże miał być szczęśliwy, ciało jego było wątłe, oczy zapadłe, a nogi i ręce tak wychudzone, że młody królewicz wyglądał tylko jak cień królewicza, ale nie jak mama jego dostojna osoba.

Dnie też całe leżał bezczynnie w wielkiej, ponurej komnacie, a stara piastunka, szambelanowie i ochmistrzy-

nie, mędrcom i doktorzy stali nad nim, kiwając głowami.

Dnie jednak biegły swoim порядkiem, a lato, jesień, zima i wiosna następowały po sobie.

Więc też jednej wiosny słońko z za ciemnych obłoków wyjrzało, rzuciło jeden promyk, drugi, trzeci i oto poweselało na świecie. Ptaszki, ujrawszy złoty blask słońka, zaczęły wołać:

— Cir, cir, cir!

— Cirrrrr! — rozległo się po całym przestworzu.

Słońko rzuciło więcej jeszcze promieni, spłynęły śniegi, wody poprzerywały czarną rolę, potoki szumiały gdzieś w dali, na przydrożach i miedzach runiały czerwono-zielone zdziebelka, lasy kołysały młodemi gałązkami a echo przynosiło odgłos fujarki.

— Ta dana, taa daa na! hej!

Codzień jaśniej, codzień wonniej i cieplej było na świecie. Słoneczko złociło lasy, łąki i pola, ale pola były niezorane, bo oddawna ręka ludzka nie miała o nich stania.

Słońko złociło je jednak; ba, nie tylko złociło pola, lecz wdarło się nawet do komnaty, gdzie leżał beczynnien królewicz Hołubek.

A jeżeli zawsze smutne dni pędził, toć ów ranek był dlań jeszcze smutniejszy.

Biedaczek przymknął wychudzone, przezroczyście prawie powieki, usta otwarte chwytaly powietrze, lecz zakłęśte piersi na oddech zdobyć się nie mogły, tylko od czasu do czasu wyrывał się z piersi jęk bolesny.

Szambelanowie, ochmistrzynie, mędroowie, doktorzy, wróżbiarki i wróżbici przynosili rozmaite leki, a że te nie pomagały, kiwali tylko głowami, mówiąc do siebie:

— Niema już dla niego lekarstwa!

A piastunka łamiąc ręce, biadała.

— Zamrze biedactwo, toć i tchu w nim prawie niema.

I rzeczywiście, królewicz Hołubek przymknął powieki i leżał bez ruchu.

Zdawało się, że życie już z niego uciekło.

Wtem słońko złotym promieniem wpadło do ponurej komnaty, ozłociło smugą światła marmurową podłogę, ozłociło sprzęty i zatrzymało się jasnym, ciepłym promieniem na bladej twarzy królewicza. Królewicz Hołubek otworzył powieki, uśmiechnął się i blademi, bezkrwistemi rączkami począł chwytac złote promienie. Uśmiechnął się znowu, z trudnością podniósł głowę z poduszki i wstać usiłował.

Piastunka, szambelanowie i ochmistrzynie, mędroowie i doktorzy podbiegli ku niemu.

Ale królewicz Hołubek dał znak ręką, że nie chce nikogo, skinął tylko na piastunkę.

A gdy się ta nachyliła, rzekł ledwo dosłyszczanym głosem:

— Ubierz mnie nianiu!

Mędroowie, doktorzy, szambelanowie i ochmistrzynie poczęli przekładać, że go to zmęczy, ale widząc, że królewicz na rady milczeniem odpowiada a nawet na nich niechętnie spogląda, jeśli przynosić drogocenne królewskie szaty.

Ale królewicz odrzucił wszystkie, a kazał sobie podać prostą lnianą odzież, którą mu jeszcze jego nieboszczka matka własnymi rękami utkała i uszyła.

Szambelanowie, ochmistrzynie, mędrocy i doktorzy kiwali głowami i mówili pocichu:

— Przed śmiercią to mu się już i w umyśle mąci.

(c. d. n.)

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Ale, wiesz co Melciu? tyś zupełnie zapomniała o tem, co to jest ukryte w tym dole, z którego mewa wyjadała krewetki? I jej nie widzę... Gdzie ona się mogła podziać?

— Wystrzały ją przestraszyły... jedna z towarzyszek zabita. Rzucimy jej kawałek ryby, a zobaczysz, że przyleci... ona zresztą nie obawia się jak my, by sobie nóg nie zamoczyć, wody się nie lęka, w czasie przypływu pędzej tu jeszcze przyleci wyglądać co morze przyniesie.

Przez ten czas woda przybierała, jak zwykle; gdy dzieci znalazły się na górze, rzuciły kawałek węgorza, bo ryba była ogromna, zdawało się, że się nigdy nie skończy... Natychmiast z poza zakrętu skały ukazała się maleńka, szara główka; była to mewa ukryta w tem samym miejscu co wczoraj. Ze skrzydłami otwartymi, zeskoczyła na piasek, i biegnąc z niesłychaną szybkością, pochwyciła rzucone jej pożywienie.

— Miałas jej naprawić skrzydełko, a dotąd nie jeszcze nie zrobiłaś? — rzekł Iwonek.

— Mnie się zdaje, że ono nie jest złamane, lecz tylko skaleczone... Czy uważasz, że dzisiaj trzyma je już wyżej. Jeżeli nie jest złamane, to samo się zagoi. Ale spróbujmy czy będzie mogła wejść na schody.

To mówiąc, Melcia rzuciła kawałek ryby na pierwszy stopień, ptaszyna wskoczyła, lękając z łapczywością węgorza. Powtórzyło się toż samo na stopniu drugim, trzecim i t. d., aż dopiero na przedostatnim i najwyższym, na którym to Iwonekowi zrobiło się tak niedobrze, mewa opadła, może nie miała jeszcze siły wskakiwać tak wysoko, a może też nie była już głodna.

— W każdym razie teraz wyzdrowieje na pewno — rzekła Melcia — bądźmy też przygotowani, że pewnego pięknego poranka okaże się niewdzięczną i opuści nas!

— To byłoby brzydko z jej strony, siostrzyczko, bo pewno nigdy jeszcze nie jadła tyle co tutaj. Ale teraz na nas kolej, musimy oskubać zastrzeloną mewę, włożemy ją do rondelka, dodamy masła... jestem pewny, że lepszą będzie od węgorza, który zupełnie nie ma końca, w miarę jak odkroimy kawałek, zdaje się, że rośnie drugi!

— Iwonek ma rację — pomyślała Melcia... — I mnie się już znudziła ta szkaradna ryba, która mi wciąż węża przypomina...

I nic nie mówiąc bratu, rzuciła resztę ryby na dziedziniec, gdzie już woda, choć jeszcze niezbyt głęboka, rozlała się dookoła.

— Co ty tam robisz Melciu?

— Ta ryba mnie obrzydła...

I w tej chwili, Melcia przypominała sobie, jak jej ojciec opowiadał, że minogi i węgorze, należące do jednego gatunku jedzą umarłych, i gdy na morzu zdarzy się jakie nieszczęście, można ich zaraz znaleźć w bliskości.

Więc i ten węgorz posilał się może nieszczęśliwemi rozbitekami, zatopionego przed kilku dniami statku! Jakież to straszne! Zdawało się Melci, że już nie będzie mogła jeść ryby! Węgorzy i minogów nigdy do ust nie weźmie, tego była pewną!

To też mewa, wydała jej się dzisiaj, najwyborniejszą zwierzyną!...

Samo oskubanie mewy było rozrywką dla dzieci, a podczas gdy włożona do rądła złościła się na skwiercącym maśle, zacierając ręce, Iwonek mówił do Melci.

— Jak dobrze zrobił ten myśliwy, zsyłając nam tak dobre pieczyste!

— Smaczne?... Dobre?... Może było w tem trochę przesady, pomyśleli krajając ptaka.

Mięso było twarde i miało smak niezbyt miły, tłusty, ale dzieci żywiąc się ciągle rybami, nie jadły mięsa tak dawno, że i mewa wydała się wcale niezłą, a Iwonek jak to zwykle bywało za każdą nową potrawą, zwrócił się do Melci, mówiąc:

— Smakuje mi to bardzo i prosiłbym cię Melciu, byś mi codziennie robiła takie pieczyste.

— Smakowałoby ci to również długo jak homary i wszystko co było dotąd nowego — odrzekła Melcia — ale wolę to, niż żebyś nic jeść nie chciał, jak naprzykład wczoraj.

Wieczór zszedł prędko, dzięki bajkom Melci, a sen przyszedł z większą jeszcze łatwością, niż codziennie, ze względu, iż oboje, dla różnych wprawdzie powodów, zeszłej nocy spali niedobrze.

Dzień następny poświęcony był praniu. Melcia, która stanowczo, doskonałą była gospodynią, zeszła na dół by wśród stosu drzewa wyszukać jakiej deseczki, mogącej służyć do prania bielizny. Duże przeważnie kawały drzewa trudne były do poruszenia, a Melci potrzebną była deseczka mała i płaska.

Nareszcie spostrzegła taką, jakiej szukała. Wyciągnęła ją z wielkim wysiłkiem i przewróciła na drugą stronę. W tejże chwili zbladła tak bardzo, że idący za nią Iwonek, krzyknął przestraszony:

— Co się stało siostrzyczko? Czemu się tak chwiejesz?!...

— O! Iwonku, spojrzij tylko!

I to mówiąc pokazała mu deskę, a dwa strumienie łez pociekły jej z oczu.

— Jest tu coś napisane... ale nie mogę dobrze przeczytać — rzekł malec.

— Przesylabizuj, braciszku, ja nie mogę!

— M-e-l-a-n-i-a!

— Czy nic nie zgadujesz?

— To twoje imię — rzekło dziecko.

— A więc zapomniałeś jak się nazywała łódź ojca?

— Nazywała się „Melania”.

— Ta deska z niej pochodzi, i tej jednej nigdy fala nie wyrzuciła na brzeg! O! mój biedny, ukochany ojczel! Pewnie łódź musiała się rozbić niedaleko od tego miejsca, kiedy wir jej szczątki tu zaniósł. Mój Boże! mój Boże! jacy my jesteśmy nieszczęśliwi!

I Melcia płakała dalej, Iwonek zaś objął ją za szyję i całował serdecznie.

— Nie płacz tak Melciu... bo mnie strasznie smutno.

— Czy ty nie rozumiesz, że przypomniała mi się śmierć ojca, która i mamy śmierć spowodowała?... Nie mamy już rodziców!

— Ty nie masz siostrzyczko, ale ja mam, bo ty jesteś moją mamą!

I chłopczyną podwajał pieśczęty, małemi rączkami ocierając łzy siostry.

— Więc ty mnie bardzo kochasz, Iwonku? — zapytała Melcia, rozczulona serdecznym wyrazem, jaki dostrzegła na twarzyczce brata.

— Z całego serca! Ale nie płacz... proszę cię... bo się rozchoruję ze zmartwienia.

I uśmiechał się do niej, bo wiedział pieśczęch, że ta groźba najwięcej na Melcie podziała. W jego wieku zapomina się prędko o zmartwieniach i nieszczęściach, a życie obecne zacierało w pamięci przeszłość.

Ta deska nie była dla niego żadnem wspomnieniem; nie brano go nigdy na morze, kiedy przeciwnie, najmilsze wspomnienia Melci, odnosiły się właśnie do chwil, które z ojcem na morzu spędzała, a ojciec, była to jej miłość największa. Kochała matkę, bardzo ją kochała, ale dla ojca czuła rodzaj uwielbienia! Nietylko go uwielbiała, ale stawiała wyżej ponad wszystkich ludzi! Dumą wzbierało jej serduszek, widząc jak wprawnie kierował łodzią; jaki był dzielny... odważny!... ceniony wśród najlepszych marynarzy.

Melcia podobną była do ojca; blondynka, o dużych czarnych oczach! Jan Derien był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w okolicy.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

ułożył Wróbelek

Raz bywam miastem w naszej krainie,
To znowu rzeką, która też płynie
Przez ziem tych wielkie, żyzne obszary —
Lecz zna mię również młody i stary,
Że przed złodziejem strzegę ich mienie,
Gdy noc w około roztoczy cienie.
Dla ciekawego dodam nawiasem
Że moją drugą używa czasem,
Gdy o kimś trzecim wspomina w mowie
I nie mi na to pewno nie powie
Że ból dotkliwy od pierwszej mamy
Gdy nieostroźnie z nią się zbliżamy.

Z A G A D K A.

ułożyła Salamandra.

W pokoju, jak wiadomo, są cztery kąty; w każdym kącie siedzi kot; naprzeciw każdego kota, siedzą trzy koty, a na ogonie każdego kota, siedzi jeden kot.
Ileż w pokoju było kotów?

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Basi K. dla Amelci D.

Początkowe i końcowe litery następujących wyrazów, złożyć powinny imiona dwóch bajecznych, greckich bohaterów, złożone spójnikiem. 1) Dawni mieszkańcy Szwajcaryi. 2) Kraj w Afryce. 3) Ogień sztuczne. 4) Mieszkaniec stepów na dalekim wschodzie. 5) Rzeka w Peru. 6) Forteca w Bawaryi. 7) Rzeka w Niemczech. 8) Miasto nad Wisłą. Sylaby: Hel—e—ra—kir—u—lan—ems—san—
—we—gipt—ce—giz—ca—dau—do—ci—ya—mierz—le.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go:

Szurady: Gry — mas.

Łamigłówni zgłoskowej:

1) Meternich. 2) Erlau. 3) Niebawem. 4) Ereb. 5) Lippe. 6) Izydor. 7) Korynt.

Menelik — Humbert.

Czarodziejskiego kwadratu:

W	a	z	o	n
a	n	a	p	a
z	a	t	o	r
o	p	o	l	e
n	a	r	e	w

Skrzynka do listów.

Malince z Meranu przesłaliśmy żądany początek powieści, mając nadzieję, że nie tylko powieści, lecz i poważniejsze artykuły z przyjemnością odczytuje.

Reginkę S. zapewniamy, iż chętnie odpisujemy na każdą odezwę naszych czytelników. Pomyłkę *Reginki* w rozwiązaniu zagadki z Nr. 14-go usprawiedliwia to, iż tak woda jak powietrze niezbędne są do utrzymania życia zwierzęcego i roślinnego.

Łamigłówni *Poziomki* przejrane zostaną, ale niteczka *Aryadny Juliusza W.* nie nadaje się do druku, logogryf zaś jego jest zbyt długim.

Szkoda, że *Niedźwiedź polarny* zapomniał dołączyć wymaganego zawsze rozwiązania w nadesłanej łamigłówce, bez tego bowiem choćby była najlepsza, przejrzana być nie może.

Łamigłówni z poprzednich numerów *Wieczorów* trafnie odgadli: *Poziomka*, *Gwiazdka*, *Malinka* z Meranu *Wróbelku*, *Stanisław Z.* i *Czesław*.

Zbyt wysokie ma mniemanie Przyjaciółka ptaszków o swojej koleżance skrzydlatej, przypuszczając, że odemnie należy przyjęcie i wydrukowanie nadsyłanych łamigłówek; sąd bowiem o nich jedynie tylko Redakcja wydaje.

Mam szczere współczucie dla Polnego kwiatka, który jako jedynak, czuje brak towarzyszy odpowiednich mu usposobieniem i wiekiem. Słusznie też czyni, szukając rozrywki w czytaniu dobrych i pożytecznych książek, lecz z żądaniem swoim powinien zgłosić się sam do Redakcji.

Dziękuję kochanej *Pliszce* za zapewnienie, że „zawsze z sobą kochać się będziemy”. Ponieważ ptaszki słowa dotrzymywać zwykli, nie wątpię, że i ten pozostanie wiernym danej obietnicy. Proszę ucałować odemnie siostrzyczki, *Isię* i *Marysię* i powiedzieć im, że sobie wyobrażam jak cieszyć się msiały z przybycia małego braciszka. Co do żądanej książki uprzedzić *Pliszkę* muszę, że Redakcja daje tylko jako premium powieści przez nią wydane.

Uznaję słuszność uwag nauczycielki *Skowronk* z Ukrainy, która wymaga od ptaszki aby za młodu przywykł do porządku i akuratności — ład bowiem i systematyczność, stanowią ważną zaletę charakteru i warunek niemal konieczny w dalszym życiu człowieka. To też Redakcja postara się brakujące numera *Wieczorów* zastąpić nowymi i prześle żądany początek.

Cieszę się, że rada przezemnie podana *Wesołej Figlarce* zyskała poparcie mateczki, co dowodzi, że choć nie w równej mierze, ale z równą szczerością obie jej dobra pragniemy. *Figlarce* zaś wdzięczną jestem, że nawet w dniu swoich imienin, oczekując odwiedzin pożądanego gościa, myśl na chwilę zwróciła ku niezmiennie życzliwej jej warszawskiej jaskółce.

Kózka panny *Zofii* ucieszyła mnie próbą swej kaligrafii, która jak na początek, jeszcze tak źle się nie przedstawia, dobrze rozbisz kochana Kózko, że większe stawiasz litery, bo one pismo najładniej wyrobią. Widać w nim wyraźniej wszelkie niedokładności, których się pozbyć trzeba. Zapewniam cię też, że tytuł „kochana Jaskółko” bardzo mi jest miłym bo kochanym ptaszkiem chciałabym zawsze pozostać dla wszystkich przyjaciół „*Wieczorów*” czy to starszych czy też choćby najmłodszych.

Słusznie osądziłaś miłą *Perliczkę*, że liściku twego nie zostawię bez odpowiedzi, bądź nawet przekonaną, że mi nim wielką sprawiła przyjemność; witam cię też w gronie mych stałych korespondentek. Żądane numera Redakcja wyśle.

Łamigłównę *dzikiej Wisienki* złożyłam w Redakcji i prawie nie wątpię, że będzie drukowaną, gdy przyjdzie na nią kolej. Za życzenia świąteczne szczerze dziękuję i zapewniam o mej życzliwości.

Godzę się w zdaniu z tobą *Wróbelku*, że rozróżniać należy dwa odrębne rodzaje ciekawości, jedna bezcelowa, niedyskretna, wtrącająca się w cudze sprawy, zwykła tylko przyczyniać ludziom przykrości i pomyłek, druga świadczy o żywotności umysłu i ducha człowieka, bada wszystko dokoła, szuka wszędzie prawdy, światła nauki, staje się początkiem wynalazków i źródłem wszelkiego postępu na świecie. Pierwszą nasuwającą błędne wnioski, (choćby w dochodzeniu osobistości tak marnej jak ja ptaszyni) odradzam wam zawsze, jako będącą bezużyteczną i zawodną, do drugiej gotową jestem pobudzać i zachęcać jaknajgoręcej. Wdzięczną ci jestem miły *Wróbelku* za ofiarowaną mi swego układu łamigłównę geograficzną, a wymienione w niej miejscowości przypominają okolice zwiedzana niegdyś w dalekich wędrówkach przez życzliwą wam.

Jaskółkę.

Wyszły z druku powiastki dla małych dzieci p. *Maryę Werycho* p. t. „*Dla Józki*” w cenie rs. 1 kop. 20 wydanie ozdobne, zwyczajne kop. 30.

Anna Jastrzębska.

PRZEŁOŻONA PENSJI WYŻSZEJ

W RYDZE.

Elisabethstrasse 55 dom *Wochrmanna* z początkiem 1896/7 roku, otwiera przy swym zakładzie klasę wstępną z oddziałem *froeblovskim*. Egzamina dla nowowstępujących uczennic odbywają się do 25 maja (6 czerwca) i w końcu sierpnia; egzamina na dyplomy nauczycielskie w listopadzie i marcu.